

# Mieczysław Inglot

---

## Żale tak - ale dlaczego gorzkie?

---

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 2 (14), 155-159

---

1974

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

roką skalę. Patronuje im poprzez UNESCO Organizacja Narodów Zjednoczonych. W Polsce odpowiednie wysiłki podjęła Sekcja Nauki przy Zarządzie Głównym Związku Nauczycielstwa Polskiego.

*Marian Stępień*

### **Żale tak — ale dlaczego gorzkie\***

To wypowiedź na uwagę oraz uznanie zasługująca, ale jednocześnie bardzo symptomatyczna. I to nie dlatego, że opublikowana w okresie adwentu, a nie przed świętem Wielkiejnocy. Dlatego, że formułuje ją badacz, którego liczne dociekania uznane zostały za osiągnięcia dużej klasy w opinii naukowej. Ponieważ słowo „osiągnięcie” stanowi właśnie przedmiot dyskusji, spieszę wyjaśnić, że w tym wypadku rozumiem przez nie autorytatywną obecność badacza na liście autorów cytowanych w pracach często nawet bardzo odległych od zakresu jego zainteresowań. Owocuje tedy Sławiński wcale nie metafizycznie. Ale się martwi. Dlatego jednak odbieram jego niepokój jako przeżycie autentyczne — a nie jako formułę retoryczną felietonisty (do której ma oczywiście także pełne prawo).

Symptomatyczność wypowiedzi wynika z faktu, że jej autorem jest badacz posiadający (w sensie instytucjonalnym oczywiście) optymalne warunki pracy. Mam tu na myśli nie tylko „instytutowość” (a w jej ramach do perfekcji doprowadzone nowoczesne metody pracy zespołowej i możliwość wymiany myśli), ale także dogodności wynikające z bytowania w centrum życia kulturalnego kraju. To centrum (i tu dalsza dogodność) jest stolicą, co w naszym geograficzno-kulturalnym układzie (czy raczej: politycznej tego układu interpretacji) stanowi czynnik istotny. A przecież pracując w warunkach na pewno nietypowych umie wypowiedzieć sądy reprezentatywne. O wielu z nich można powiedzieć: „wyjął mi je z ust”.

Innymi słowy: z szeregiem sądów Sławińskiego wypadnie się zgodzić. Co więcej — imponująca ostrość (nie częsta w złotych klatkach samozadowolenia, które cechuje sposób bycia wielu instytucyjnych uczonych) jego sądów okaże się jeszcze bardziej wyrazista, gdy się na nie popatrzy z perspektywy miejsca, które zajmują jako badacz „prowincjonalny” czy „uniwersytecki”. Z drugiej jednak strony wypadnie — zarówno z perspektywy miejsca, które w ramach geografii kulturalnej zajmują, jak i z perspektywy własnych (i nie własnych) doświadczeń warsztatowych zaproponować przeciwko katastroficznym wnioskom formułowanym przez autora. Piszę „war-

\* Dyskusja z artykułem J. Sławińskiego *Gorzkie żale*. „Teksty” 1973 nr 3.

sztatowych”, bo mimo istotności elementów metodologicznych, obecnych nawet w zespole techniczno-logicznych czynności, jakie tworzą pojęcie „warsztatu”, uważam, że w ramach różnych metodologii istnieje wspólna miara „złej” czy „dobrej” roboty.

Zacznijmy od zdań potwierdzających czy pogłębiających niepokój. Ciągłe obecny w naszym życiu kulturalnym podział na stolicę i prowincję — wyrażający się m.in. mniejszą dostępnością potrzebnych czasopism czy książek zagranicznych i nieproporcjonalnie mniejszymi możliwościami zagranicznych kontaktów — sprawa, że „prowincjonalny” Achilles z góry rezygnuje z pogoni za złotwem. Tym bardziej że owym Achillesem jest badacz (przepraszam: naukowiec) uniwersytecki w epoce permanentnych reform — i związanej z nimi administracyjnej karuzeli. W tej sytuacji oświadczenie Sławińskiego, że naukowość, do której dążymy, jest marą, ową „(...) Boską kochanką // Której na podświetlonym nie bywało świecie // Którą tylko na falach wyobraźni pianki // Wydeło tchnienie zapału” — może brzmieć jako gorzkie pocieszenie. Ba! nawet usprawiedliwienie. Jakże potrzebne w sytuacji, w której administracyjna machina, traktując czas przeznaczony na badania jako czas prywatny, „nieobywatelski”, nieważny w obliczu innych „społecznych” zadań — jednocześnie z bezdusznym brakiem logiki rozlicza delikwenta z wyników owych „prywatnych” badań. Po prostu dlatego, że tylko one dadzą się rozliczyć!

Ale z drugiej strony owo „pocieszenie” nie zawsze posiada posmak rezygnacji. Bo postawieni za katedrą czujemy się w takim układzie potrzebni. Nie administracji oczywiście. Pozostaje ona (i chyba pozostanie) dla większości z nas „złem koniecznym”. To na pewno swoisty „atawizm” zawodowy, skoro tak sądzą nawet ci, którzy praktycznie wyżywają się, czy też robią kariery na tym terenie. Czujemy się potrzebni studentom. Nawet tym coraz liczniejszym, zaocznym, wyciąganym ministerialnym nakazem, gdzieś z odległych pieleszy, wymęczonym, niedospanym. Tym, spędzanym na wielogodzinne maratony dydaktyczne w dusznych salach upalnego lipca czy sierpnia. A może w szczególności im. I to nie dlatego, że przed nimi najłatwiej by można odegrać rolę proroka w kieszonkowym wydaniu. Sensowność działań dydaktycznych wiązałbym z faktem szczególnej satysfakcji badacza-literaturoznawcy. Wynika ona z możliwości intelektualnego zbliżania przedmiotu naszych badań: dzieła literackiego do świadomości naszych słuchaczy, z tworzenia atmosfery wspólnoty przeżywania. Zakładam, że takie intelektualne oswojenie zawodzi jeżeli nie w postaci (trudno uchwytnej) osobistej wrażliwości studenta, to przynajmniej w postaci tolerancji. Tolerancji wobec awangardy i tradycji literackiej. Tolerancji wobec rozmaitych sposobów ujmowania dzieła. Bo nie sądę, że tak wartościowanemu działaniu może przeszkodzić lojalne, antyprofetyczne (i antypedagogiczne) uznanie zmienności wyróżników interpretacji. Przeciwnie — może mu pomóc. W epoce „rewolucji kulturalnej” w różnych

punkciach kuli ziemskiej — rzecz godna uwagi humanisty-dydaktyka.

A więc — używając terminologii Marii Janion: humanistyka terapeutyczna. Ale i dla humanistyki rozumiejącej znajdzie się w niniejszych wywodach miejsce. Inne od tego, które wyznaczył jej Sławiński.

Najpierw dlatego, że w moim przekonaniu dzieje metodologii — to nie tylko łańcuch Curvierowskich katastrof (choć i takowe się zdarzają). To także renesans i kumulacja działań. Nie tak przecież dawno na kartach licznych prac gościli różni uczeni jako „burżuazyjni idealisci”, ba nawet jako kryptomarksści „podstępnie” przenikający do zdrowego nurtu naszego życia naukowego. Obecnie wielu z nich pojawia się w pracach tych samych badaczy, wyznających tę samą metodologię jako mile widziani przybysze. I to nie na zasadzie ekspiacji, lecz jako lojalnie potraktowani partnerzy w sokratejskim dialogu nauki. Jako żywa, naukowo funkcjonująca tradycja. A oto inny, może bardziej oczywisty przykład. „Wydaje się, pisze Stanisław Barańczak, że istotę stwierdzeń Piageta na temat stosunków między genezą a strukturą (...) można odnaleźć w nieco innej formie już w Tezach Praskiego Koła. Ta tradycja została tu niesłusznie chyba pominięta” („Teksty” 1973 nr 3, s. 124). Przykłady można by mnożyć. Ale na ich rozległym fundamencie warto by nie tylko sformułować zarzut w rodzaju „jak się ze starych książek robią nowe książki” (bo się czasem i robią), ale także postawić pytanie: czy nie mamy tu do czynienia z kumulacją? I to w odróżnieniu od nauk ścisłych czy przyrodniczych — kumulacją funkcjonalną? Przynajmniej tak, jak archetypy w literaturze. Czy zatem nie możemy powiedzieć o sobie, że szukamy prawdy, która istnieje? I czy o tej prawdzie, o swoim do niej dążeniu nie możemy powiedzieć, parafrazując słowa wielkiego dialektyka: „Aż do tego punktu leżącego jeszcze w nieustalonej dali może każdy tworzyć z tego wciąż jeszcze rodzącego się świata, bo z niego jego czas jest w stanie objawić mu jakąś część i w oparciu o tę objawioną część może stworzyć jedną całość i ukształtować z niej własną metodologię” (Schelling)<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> Przekładając ową metaforyczną peryfrazę na język bliskiej jej, dzisiejszej wykładni metodologicznej, można za Leszkiem Nowakiem przedstawić proces kumulacji następująco.

Badacz operuje wyjściowym, idealizacyjnym modelem rzeczywistości, w której wyróżnia czynniki istotne oraz uboczne, zakładając, iż te ostatnie nie występują. Badacz zakłada, że „każdy przedmiot o cechach zbliżonych do  $A_1$  i  $A_2$  i...  $A_n$  ma cechę zbliżoną do  $B$ ”. W trakcie badań następuje konkretyzacja modelu drogą wprowadzania „coraz większej ilości owych pominiętych uprzednio ubocznych czynników i stosownej modyfikacji wyjściowych praw”. Taką konkretyzację można przedstawić za pomocą formuły: „Każde  $A_1$  i  $A_2$  i  $A_{n-1}$  i nie  $A_n$ , to  $B'$  (gdzie  $B'$  jest modyfikacją  $B$  — ustaloną wskutek uwzględnienia

Jak widać, można w marksistowskim piśmie zacytować „burżuazyjnego idealistę”, co też stanowi powód do radości. Nie o tym jednak chciałbym pisać, jako że radość powszechna jest jak zdrowie w Mickiewiczowskim przysłowiu. Wydaje się, że szansę na bardziej optymistyczne spojrzenie na egzystencję humanisty uzyskamy, gdy ujmijemy ją w perspektywie nie tyle metodologii, co warsztatu naukowego.

Myślę tu najpierw o hermeneutyce, a w szczególności o — najmniej chyba determinowanej metodologicznie — postawie lojalności wobec tekstu, o której wiele przekonywających słów napisali filolodzy. Sądzę, że owa lojalność, pojmowana jako wychodzenie naprzeciw dostrzegalnym w tekście interpretacyjnym opozycjom, jako wycostrzanie wątpliwości aż do momentu, w którym proponowana formuła konkludująca zostanie przez badacza intuicyjnie uznana za przekonywającą (o intuicji można też nieskończenie — ale to rozdział osobny), może stać się źródłem satysfakcji. Trudno powiedzieć na ile będzie to satysfakcja „scientyczna” — na ile etyczna. Ale czy istnieje trybunał, który (szczególnie po odkryciach Kotarbińskiego) pozwoliłby oddzielić te dwie skale wartościowania w świadomości badacza?

Myślę tu dalej o logice, głównie zaś o problematyce z zakresu teorii pytań. Wydaje się, że możemy w humanistyce formułować pytania w miarę obiektywne, to znaczy takie, na które odpowiedź nie jest założona z góry. Mam na myśli wysunięty przez Johna Zimana pro-

---

nia wpływu, jaki na *B* wywiera pominięty uprzednio czynnik”. I tak dalej. (L. Nowak: *Czy nauka jest irracjonalna?* „Nurt” 1972 nr 2, s. 31).

W ten sposób powstają „modele konkretyzowane”, paradygmaty działań naukowych tworzące przybliżone ujęcia rzeczywistości. O ich względnej trwałości decyduje sytuacja, iż modele te w świadomości badacza-racjonalisty funkcjonują jako struktury dynamiczne o sprzężeniu zwrotnym między macierzą transformacji (teorią wyjściową) a macierzą struktury układu modelowego. Z szeregu faktów wyjściowych, przeczących na pierwszy rzut oka teorii wyjściowej, badacz wyróżnia te, które przeczą *poszczególnej* konkretyzacji, i te, które stanowią zaprzeczenie *kolejnych, poszczególnych* konkretyzacji, starających się uwzględnić czynniki zakłócające. Pierwsze mobilizują do dalszych uściśleń — a nie (jak w wypadku badacza-irracjonalisty) do odrzucenia teorii. Dopiero te ostatnie, „uporczywe” fakty, uznane zostają za rzeczywiste zaprzeczenie paradygmatu.

Przechodząc od analizy rozwoju warsztatu poszczególnego badacza do rozważań nad procesem postępu w nauce Nowak zakłada, „że kolejne paradygmaty są jednak pod istotnymi względami «bardziej postępowe» od swych poprzedników; nie każda bowiem nowa alternatywa zostanie zaakceptowana jako nowy paradygmat, lecz tylko taka, która spełnia określone warunki (jest lepszym przybliżeniem rzeczywistości w sensie marksistowskiej koncepcji prawdy względnej)”. *Ibidem*, s. 33.

blem sugerowania „pewnych, nie zaobserwowanych dotąd zjawisk, których istnienie wynika z danego modelu teoretycznego”. Ma rację Ziman, gdy pisze, że z punktu widzenia logiki jest rzeczą obojętną czy eksperyment poprzedzi teorię, czy odwrotnie. Tego procesu obiektywnie uchwycić nie można. Ale możliwość istnienia chociażby subiektywnie przeżywanego momentu przewidywalności napawa (jak słusznie stwierdza wspomniany badacz) wiarą w sens naukowych poczynań.

Na zakończenie, żeby przykładowo przedstawić swój na pewno jeszcze intuicyjny punkt widzenia, pozwolę sobie na relację o przygodzie, którą przeżyłem i która dostarczyła mi satysfakcji. Być może taniej, ale autentycznej.

Jak wiadomo (sugerowało to zgodnie wielu badaczy, dokumentując swój sąd różnymi źródłami), na *Balladynę* Słowackiego można z pewnego punktu widzenia popatrzeć jako na literacki obraz o najnowszych dziejach Polski. W kontekście zastanej tradycji badawczej i w ramach patronujących jej założeń metodologicznych zacząłem analizować epizod o fałszywej koronie Popiela II, uzurpatora. I wówczas zadałem sobie pytanie: jaką koroną koronował się Mikołaj I na króla Polski w 1829 r.? Nie znałem odpowiedzi (chcecie to wierzyć albo nie wierzyć), ale zakładałem, że jeśli moje przewidywania okazały się słuszne — to nie może być korona polska. Tak też i było. Muszę powiedzieć, że wtedy zrozumiałem, co czułby Mendelejew, gdyby doczekał chwili, w której jego tablica zapełni się do końca realiami.

Jest to satysfakcja subiektywna — i jako taka może być uznana za tanią. Tym bardziej że w sumie zaprezentowałem niniejszym wywodem postawę fanatyka ładu, człowieka, któremu organicznie obce są niepokoje. Ale na tym polega dyskusja: płaszczyzna, na której odnajdujemy się wspólnie — Sławiński prezentujący swoje i nie swoje niepokoje i ja, przedstawiający własne (i nie własne) zdanie o jego sądach.

Mieczysław Inglot

### **Hernasa podręcznik nowoczesny**

Czesław Hernas: *Barok*. Warszawa 1973 PWN, ss. 571.  
*Historia literatury polskiej*. Pod red. K. Wyki.

Czesław Hernas, autor barokowego segmentu *Historii literatury polskiej*, znalazł się w sytuacji bardzo trudnej (trudniejszą może będzie miał tylko autor-mediewista!). Miał do pokonania przeciwności rozmaite. Brak na przykład edycji krytycznych pisarzy XVII w.; w chwili powstawania podręcznika, poza